

Spotkałem jej chłopca...

Fragment opowiadania

Zmęczony i zawstydzony, nie zauważyłem chwili, kiedy Clementina stanęła na środku ścieżki, na zboczu góry del Gallo, wśród drzew. Czekala na mnie. Z bliska zobaczyłem, jak pochylała głowę, twarz zasłaniała jej fala włosów, jak podnosiła głowę poruszając wargami i znowu ją opuszczała.

Podszedłem do niej i zapytałem ze złością:

— Co to znaczy? Dlaczego uciekasz? — Odejdź! Daj mi święty spokój!... Odejdź! Masz chyba swoją dziewczynę i wiele innych w całym Rzymie i nieszczęście gonić. Czy chcesz, żebym zawołała Serafinę?

— Którego Serafina? Bo ja noszę od tygodnia w kieszeni list do strażnika więziennego Królowej Niebios, który ma na imię Serafino. A jego siostra nazywa się Gioconda. Może ich znasz? — byłem rozdrażniony i czułem się upokorzony. Mówiłem coś bez przekonania, ale powtarzałem w duchu, że muszę zachować spokój i nie pozwolić odejść Clementinie.

Nic więcej nie powiedziała, może dlatego, że obok nas przechodził właśnie stary ksiądz, trzymając w dłoni otwarty brewiarz. Było to niedaleko walykańskiego dworca kolejowego. Kierowaliśmy się w stronę miasta.

W autobusie Clementina powiedziała do mnie jedno zdanie:

— To jakieś nieporozumienie.

Nawet nie próbowałem jej tego tłumaczyć. Patrzyła na mnie czarnymi, zamglonymi od znużenia oczami. Przez chwilę obgryzała paznokcie kciuka, po czym ułkwiła wzrok w oknie i tak dojechaliśmy niemal na drugi koniec Zatybru. Clementina wysiadła, poszedłem za nią. Nie patrzyła na mnie, za trzymała się tylko przed wystawami sklepów. Odczuwałem niesmak tego spotkania. Przeszliśmy w milczeniu parę ulic w kierunku Monte Mario.

— Czy Serafino jest tutaj? — zapytałem.

— Nie wiem — odparła Clementina, patrząc gdzieś daleko na drugi brzeg Tybru. — Przyjdzie Serafino, na pewno przyjdzie — powiedziała nagle z zapałem. Nie mogła już panować nad sobą i zaczęła cichutko płakać. Polykała łzy i zaciskała mocno powieki, aby nie było widać, że płacze. Udałem, iż nie widzę jej łez. Począłem opowiadać po kolei najdrobniejsze zdarzenia z mojego krótkiego pobytu w Italii. Clementina wzięła mnie w pewnej chwili za rękę i bez wahania skierowała kroki w stronę skalnej szczeliny. Siedliśmy pod ścianą w obszernej grocie, do której wejście było na wpół zasłane. Początkowo nic nie widziałem, ale po kilku minutach rozpoznałem już osre rysy twarzy dziewczyny.

— Poczekamy tutaj na Serafinę — rzekła.

— Możemy poczekać. — Nie boisz się? Powiedz prawdę. — Nie.

— Masz list do Królowej Niebios. Dlatego się nie boisz.

— Nie dlatego. Mogę ten list zaraz zniszczyć.

Opowiedziałem Clementinie całą historię tego listu.

Była jeszcze noc, ale niedługo już miało świtać. Szliśmy powoli opuszczaćymi, wąskimi uliczkami. Chodniki były wilgotne od rosy. Clementina szła ze spuszczoneą głową i nie odpowiadała na moje pytania dotyczące Rzymu. Patrzyłem dookoła bezradnie, jak zabłąkany w obcym mieście.

W pobliżu dworca Termini zobaczyłem z daleka hotel, w którym mieszkaliśmy. Przed drzwiami wzięłem Clementinę za rękę i wprowadziłem ją do mojego pokoju na drugie piętro.

— Dobrze, że jesteśmy już w domu — szepnęła. — Gdzie?

Nie powiedziała nic więcej. Wyczułem, że tym pytaniem sprawilem jej przykrość, może i ból. Była błąda, miała wyschnięte wargi i przepoczone ciało.

Zasnęła zaraz. Siedziałem w fotelu i oczekiwałem dnia.

Codziennie, przechodząc ulicą Nazionale, przyglądałem się Clementinie przez szybę wystawy, jak w małym sklepiku galanterijnym obsługiwała kupujących. Nie nadawała się do roli ekspedientki, była nieelegancka, nieporadna, wyszukany gestami robiła co mogła, aby przypodobać się i pozyskać klientów. Gdy wchodziłem do sklepu, patrzyła na mnie zaniepokojonymi oczami, widocznie spodziewała się zawsze czegoś złego. Ale, gdy poprosiłem znowu o chusteczkę do nosa, zaczęła się śmiać i szepnęła:

— To już jest czwarta, albo piąta...

— A jutro będzie szósta — odpowiedziałem. — Pojutrze siódma. Czy nie mam prawa kupować codziennie

Za rogatką Naruską, w Sankt-Petersburgu, w pobliżu Zakładów Putiłowskich, biegną uliczka Bogomołowska. Tu, w parterowych drewniakach żyli robotnicy — putiłowcy. Timofiej Matwiejew wynajmował pokój: miał żonę i 14 dzieci. Ale odchowało się z tego zaledwie pięcioro. Resztę zabrali choroby, niedożywienie.

Za carskich czasów przeciętna długość życia w Rosji wynosiła 32 lata. Dotyczyło to milionów Matwiejewów. Nie dotyczyło i nie obchodziło na przykład pana Wtorowa, którego zyski równały się zarobkom 40 tysięcy robotników. A bynajmniej nie był to największy spośród rosyjskich kapitalistów. Dziś przeciętna długość życia w ZSRR wynosi 70 lat. Przeciętna — dla wszystkich.

„Panowie. Sugerowanie, że moglibyśmy w ciągu jakichś dwudziestu kilku lat dogonić państwa o wielowiekowej kulturze, jest z gantunku takich domagań się, jakich wysuwać nie należy!” — z wyżyn IV Dumy głosił premier Kokowcew. Było to w maju 1913 r.

Nie minęło nawet owych dwadzieścia kilka lat, o których mówił carski „czynownik” — a kraj wysunął się na jedno z czołowych miejsc w gospodarce świata. Ale nie było to już carskie feudalno-kolonialne imperium — lecz Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. I dokonali tego nie Kokowcewowie i Wtorowowie lecz miliony Matwiejewów.

Przez łuk wejścia do Sztabu na ogromny plac wbiegały tysiące czerwogwardystów, marynarzy, żołnierzy. Byli wśród nich putiłowcy — bolszewicy, których ukrywał stary Timofiej Matwiejew. I był młody putilowiec, Sergiusz Matwiejew, syn Timofieja. Młodsza córka, Anna, pracowała również w Zakładach Putiłowskich. Od tego październikowego dnia szturm na Pałac Zimowy — pracowała dla potrzeb Rewolucji.

Rok 1921. Czwarta rocznica Października. Walki z interwentami, wojna domowa dobiegały wreszcie końca. Kraj pogrążony był w ruinie, panował głód, chłód i epidemie. Ale z całą energią przystąpiono do re-

OD SZTURMU PAŁACU ZIMOWEGO DO SZTURMU KOSMOSU

lizacji planu elektryfikacji Rosji — planu GOELRO. Po to, aby w nieogrzewanej sali Teatru Wielkiego móc oświetlić mapę, która ilustrowała referowane przez Lenina tezy planu — musiano na ten czas włączyć dostawę prądu do kilku dzielnic Moskwy. Herbert Wells, angielski pisarz, autor powieści fantastycznych, nazwał wówczas Lenina „kremłowskim marzycielem”. Co by powiedział teraz, gdy ZSRR buduje równocześnie około 350 potężnych elektrowni cieplnych i wodnych, gdy za 17 lat będzie produkować rocznie 2.700—3.000 miliardów kWh energii elektrycznej — a więc w ciągu roku wykonywać 340 planów GOELRO?...

Anna Matwiejewa przeniosła się na wieś, pod Gżask. Zaczęła pracować w kołchozowej farmie, była dójką, została kierowniczką. Wysłała za męża. Za Aleksego, cieśla. 9 marca 1934 r. urodził im się syn — Jurij.

Maż Anny, miliony cieśli, murarzy, mieli huk pracy — cały kraj był wielką budową. Przerwała ją wojna. Straszna: 1710 miast, ponad 70 tysięcy wsi — zniszczonych, 20 milionów ofiar, 25 milionów ludzi bez dachu nad głową. Ogromny wysiłek, samozaparcie całego narodu... I czerwone sztandary zatknięte w Berlinie, w Wiedniu, nad Łabą. Sztandary zwycięstwa — i życia.

Biegły lata. Trudne, pełne wyrzeczeń. Lata odbudowy ze zniszczeń. I nadszedł XX Zjazd, potem XXII. Słowa ciężkiej, ale koniecznej prawdy poruszyły miliony; przyniosła odnowę we wszystkich dziedzi-

nach życia, zgodna ze wskazaniami Lenina, przynosząc realne plany realizacji marzeń — zbudziła nową twórczą inicjatywę.

Jurij uczył się. W 1951 r. ukończył szkołę w Liubercach pod Moskwą, później technikum: został odlewnikiem-formierzem. W Saratowie zapisał się do aeroklubu. Na liście kursantów pojawiło się nowe nazwisko: Jurij Gagarin. W 1957 r., gdy uczeni radzieccy wystrzelili pierwszego sztucznego satelitę ziemi — Jurij po raz pierwszy wzbił się w niebo na samolocie odrzutowym. W cztery lata potem jako pierwszy człowiek znalazł się w Kosmosie.

W 1917 r. Rewolucja otworzyła ludzkości erę socjalistyczną. W 40 lat potem socjalistyczne mocarstwo otworzyło ludzkości erę kosmiczną. Taki musiał być bieg historii: zwycięstwa w Kosmosie trzeba było wykuć na Ziemi, w nauce, technice, całej gospodarce, kulturze — w tym tempie mógł tego dokonać tylko socjalizm.

Ponad szesnaście tysięcy dni mija od chwili, gdy Lenin w sali Smolnego proklamował zwycięstwo władzy radzieckiej. W ciągu tego czasu zbudowano, odbudowano, unowocześniono 38 tysięcy wielkich zakładów przemysłowych — z górą dwie fabryki czy elektrownie dziennie. A nie zapominajmy przy tym, że niemal 20 lat odebrały Związkowi Radzieckiemu w jego twórczej pracy — wojny we własnej obronie i odbudowa zniszczeń.

Dziś tę ilość dóbr materialnych, które Rosja wytworzyła w ciągu całego 1913 r. — przemysł radziecki produkuje w ciągu ośmiu dni. Na ZSRR przypada jedna piąta całej produkcji przemysłowej świata.

bo przecież skutki są aż nazbyt widoczne. Im prawdziwsze i dokładniejsze będzie rozpoznanie tym lepiej można działać zaradczo. Jednak i w takim przypadku nie należy się spodziewać natychmiastowej poprawy. To czy inne odchylenie od aktualnie obowiązujących norm postępowania moralnego powstało dlatego, że złożył się na nie szereg błędów wychowawczych w przeciągu dłuższego okresu czasu. Proces naprawy wymaga zmiany dotychczasowych warunków oddziaływania, wymaga wiele trudu i cierpliwości. Im dłużej trwa proces demoralizacji, tym dłuższym będzie proces resocjalizacji. Najlepszym jednak lekarstwem na wszystkie trudności wychowawcze jest nie dopuścić do nich, zawczasu usuwać przyczyny wypaczeń wychowawczych.

Większość rodziców kocha swoje dzieci i pragnie wychować je na ludzi uczciwych, szlachetnych a przede wszystkim szczęśliwych. Pod pojęciem uczciwości, szczęścia, moralności kryć się może różna treść, w zależności od stosunku jednostki do świata. Każdy ojciec i matka muszą wyraźnie zdać sobie sprawę z tego, jakiego człowieka będą się starali wychować i przekazać społeczeństwu. W wielu rodzinach w tej zasadniczej sprawie panuje całkowita ignorancja, brak określonego celu i

Dokończenie na str. 2

Wszyscy jesteście wychowawcami

„BEZRADNI” RODZICE

Tym artykułem wprowadzamy na nasze łamy stały cykl pt. „Wszyscy jesteście wychowawcami”, w którym systematycznie będziemy omawiać zagadnienia wychowania młodzieży i wpływów, jakie mają na to wychowanie rodzice, szkoła, organizacje młodzieżowe, środowisko.

Niejednokrotnie rodzice zwracają się do wychowawców, kierowników i dyrektorów „szkół prosząc o pomoc i radę w sprawach wychowawczych, ponieważ sami nie mogą już sobie poradzić z synem czy córką.

Oto najczęstsze skargi na „trudne dzieci”: Mój syn kradnie, miał już dwie rozprawy sądowe, jest pod opieką kuratora sądowego, w razie nowego przestępstwa czeka go zakład poprawczy. Moja córka kłamie, ucieka ze szkoły, nie chce się uczyć, do domu wraca późno, kłóci się z matką i obraża ją. Mój syn jest uczniem zasadniczej szkoły zawodowej dla pracujących i z tej racji już zarabia. Z zapracowanych pienię-

dzy nie oddaje jednak ani grosza, mimo że w domu się nie przelewa.

Niektórzy z „bezzadnych rodziców” oczekują jakiejś zbawiennej i skutecznej rady, która w sposób radykalny przywróci równowagę i spokój w domu. Niemal jest ich zdziwienie, kiedy usłyszą, że, niestety nie ma gotowej recepty na tego rodzaju schorzenia i dolegliwości. Kradzież kradzieży nie równa, kłamstwa są także różnego rodzaju i wypływają z różnych przyczyn. Ażeby więc udzielić rzeczywiście skuteczną radę, trzeba znać bardzo dokładnie samo dziecko, psychologiczne podłoże sprawy, środowisko, w którym żyje itp. Trzeba więc na wstępie postawić diagnozę przyczyn,

chusteczki do nosa? Proszę o dwie chusteczki...

— Ależ tak. Możesz... pan. Bardzo proszę. Trzysta lirów — wybierała najładniejsze i odzyskiwała pewność siebie.

Ośme chusteczki do nosa nie kupiłem już w sklepie u Clementiny. Postanowiłem wyjechać z Rzymu w poniedziałek rano, aby móc jeszcze spędzić dwa, trzy dni w Wenecji.

Gdybym powiedział, że Clementina była przerażona tą wiadomością, byłoby to nieprawdą. Jedynym ruchem głowy uczyniła gest rezygnacji i zarazem zgody na moją decyzję.

— No cóż. Byłam szczęśliwa. Naprawdę — powiedziała ze smutkiem. Nie wierzyłem jej. Onieśmieliła mnie swoim spokojem. Nie odważyłem się nawet objąć ją w łody, chociaż wydawało mi się przez chwilę, że słowa jej nie były całkiem normalne i obojętne.

Ta jedna scena uczyniła z nas nagle wyszydzoną parę, zupełnie niedobraną. Różnica wieku między nami wynosiła dwadzieścia lat. Ta jedna chwila uczyniła z nas coś jakby tylko siostrę i brata. I tak już było do końca.

Pod koniec wieczoru zadała mi takie oto pytanie:

— Wstąpisz po drodze do Udine?

— Mogę wstąpić. Ale po co? — odparłem.

— Mieszka tam Giulia.

— Kto to jest?

— Matka Marie.

— A Marie jest matką Clementiny — wyciągnęłam palec w jej stronę.

— Naprawdę, zgadłeś... Giulie spotkasz w hotelu „Torrento” przy via Roma 44. To jest bardzo blisko dworca. Wstąpisz więc do Udine? Powiedz? — śmiała się niespokojnie.

— Wiesz, że to jest genialna myśl. Przenocuję tam i wyjadę do kraju na-

ZSRR osiągnął najwyższe na świecie tempo i zasięg budownictwa inwestycyjnego, mieszkaniowego i socjalnego. Tylko w ciągu ubiegłych pięciu lat do nowych domów przeprowadziło się 50 milionów ludzi — niemal jedna czwarta całej ludności.

Ostatnie lata przyniosły zagospodarowanie 42 milionów ha nowych ziem; zbiory zbóż wzrosły z 5 miliardów pudów w 1953 r. do 9 miliardów w 1962 r.; w tym roku pogłowienie bydła zwiększyło się o 3 miliony. Jednak tegoroczne fatalne warunki klimatyczne wpłynęły na słabe zbiory zbóż. Ograniczenie się do własnych zasobów mogłoby spowodować obniżenie stopy życiowej ludności — ZSRR dysponując odpowiednimi zasobami dewiz, sięgnął po zakupy pszenicy za granicą.

Stopa życiowa? W ciągu ostatnich trzech lat w ZSRR ludność zakupiła 6 milionów telewizorów, 4,6 miliona pralek, 2 i pół miliona lodówek.

Oświata? Ponad 61 milionów ludzi — co trzeci mieszkaniec ZSRR — uczy się. Co roku kończy w ZSRR studia trzy razy więcej inżynierów niż w USA. W 1928 r. w gospodarce pracowało pół miliona specjalistów — dziś 10 milionów.

W Leningradzie, za historyczną Naruską rogatką, w pobliżu ogromnych Zakładów Kirowskich — dawniej Putiłowskich, biegnie ulica. Po parterowych drewniakach nie pozostało ani śladu. Z obu stron wyrosły nowoczesne bloki. Nawet Anna Gagarina z trudem poznała miejsce, w którym się wychowała. Na tabliczkach widnieje nazwa: ulica Odrodzenia. Leningradzka artystka-rzeźbiarka, T. Linde, pracuje nad popiersiem Timofieja Matwiejewa. Dziadka pierwszego kosmonauty.



Kwiat

Linoryt
Zygmunta
Salaty

została bowiem skończona w sposób naturalny i nie należało zapewne snuć dalej dramatycznego wątku.

Zobaczyłem go z daleka — stojąc w południe na Ponte di Riallo — gdy tamta czarna gondola zatrzymała się przed hotelem. Zbiegłem z mostu, skręciłem w prawo i przystanąłem na środku bulwaru, aby lepiej mu się przyjrzeć. Słońce świeciło prosto w jego brązowo-złotą twarz. Zwinnym ruchem wyskoczył z gondoli i poszedł szybko przed siebie, w kierunku Piazza S. Marco. Nie zwrócił na mnie uwagi, nie znał mnie przecież i słońce raziło go w oczy, gdy spojrzał na moment w moją stronę.

Zobaczyłem go naprawdę, nie we śnie, między ludźmi. Chciałem od razu zatrzymać go, położyć rękę na jego ramieniu i zapytać, skąd się wziął w

Dokończenie na str. 2

Ślady przeszłości to nie wszystko

Czytałem kiedyś w jednej z instytucji turystycznych list od Polki z USA, która skarżyła się, że najmłodsze pokolenie Polonii Amerykańskiej, wychowane w kulcie techniki, odwiedzając nasz kraj, zobaczyło jedynie ojczyznę sprzed kilkuset lat. Obywatele państwa nie mającego bogatej historii, pozabawionego zabytków i tradycji, interesują się przede wszystkim sprawami współczesnymi, tymczasem w kraju przodków pokazywano młodzieży zza Oceanu: Wawel, wszystkie starówki, pałace, ruiny zamków, kościoły itp.

„Czy nie mogliście im pokazać, że Polska jest tak samo cywilizowanym krajem, jak Stany Zjednoczone, że nie żyje wyłącznie przeszłością? — skarżyła się ta pani. Czy nie mogliście im pokazać nowoczesnych fabryk, hut, osiedli mieszkaniowych, szpitali i ośrodków wypoczynkowych dla każdego pracującego człowieka?”

Mogliśmy. Ale konia z rzędem temu, kto wytłumaczy dlaczego rozwój turystyki to u nas jedynie budowa nowoczesnych hoteli, moteli, pensjonatów, zakładów gastronomicznych i usprawnianie transportu, dlaczego zaś sprawy dotyczące programu wycieczek i przewodnictwa, pozostały takie, jak za króla Cwieczka?

Wielokrotnie korzystałem już z usług zagranicznych przewodników. Zawsze imponowali mi znajomością świata, w którym żyją. Dla wielu naszych rodaków, którzy znajdują się np. w Bułgarii nie jest istotne czy cerkiew paliła się 5 albo 6 razy oraz kto ją kolejno odbudowywał dołączając po jednej kolumnie. Dziewięć na dziesięć pytań pod adresem przewodnika, w każdym kraju, dotyczy aktualnej sytuacji

gospodarczej i stosunków między-ludzkich.

Z podobnymi zainteresowaniami przyjeżdżają turyści do nas. Przybysze z zachodu są szczególnie na te sprawy nastawieni. Przekonanie się jednak, jak są obsługuwani. Gdybyśmy przyłączyli się do którejśkolwiek wycieczki zwiedzającej Poznań w towarzystwie licencjonowanego przewodnika zauważymy, że trasy i tematyka niewiele się zmie-

Co w Poznaniu oferujemy turystyce?

nili od lat. Zdumiewająca jest wiedza poznańskich ciceronów o każdym fresku i najmniejszym szczególe otoczenia Ratusza. Wykład z historii sztuki na Starym Rynku i w okolicznych kościółkach wypełni wycieczkę dwie trzecie całego programu pobytu w naszym grodzie.

Nie jestem przekonany, czy od tego samego przewodnika dowiedzą się turyści, kto był projektantem najwyższego w Poznaniu domu mieszkalnego przy placu Waryńskiego, albo kto był twórcą nowoczesnego wystroju poznańskiego dworca kolejowego. Która zagraniczna wycieczka zdołała dotrzeć do jednego chociażby POMNIKA — Szkoły Tysiąclecia czy wzorowego przedszkola? Piękne ośrodki zdrowia, przyzakładowe ambulatoria, w których tysiące ludzi korzystają z bezpłatnej pomocy lekarskiej — to wszystko są obiekty nie mieszczące się w planach zwiedzania Poznania. Ktokolwiek zwiedzał trasę od leśnego stadionu Olimpij przez Rusałkę, Strzeszynek do Kiekrza, nie ukrywał swej zazdrości i nie mógł wyjść z podziwu dla tego imponującego kombinatu wypoczynkowego.

Turyści wracający z Budapesztu zaczynają swe opowiadania od cudów wypoczynkowych na Wyspie Małgorzaty. W Cottbus największe wrażenie zrobił na mnie żłobek w fabryce NACO. Nie pamiętam historii tureckiej twierdzy Kalemegdan w Belgradzie. Ale ciągle mam przed oczyma nowy Belgrad — dumę Jugosłowian.

My też mamy co pokazać. Niestety, to co powstało w wyniku ogromnego wysiłku żyjących i może wzbudzać szacunek, zostało zagubione w niewłaściwych proporcjach programów wycieczek. W planach naszych przewodników ciągle jeszcze górę biorą obiekty historyczne i pseudohistoryczne nad nowym, ogród zoologiczny nad godnymi pokazania owocami pracy poznaniaków.

Wydaje się, że Towarzystwo Miłośników Miasta Poznania, organizacja zrzeszająca ludzi rozkochnych nie tylko w tym Poznaniu, w którego części ma swoją siedzibę, ale również w tym, który nazywa się Grunwald, Winogrody, Rajta, Cegielski, Strzeszynek — powinno rozpocząć zdecydowaną walkę o pokazywanie przybyłom naszemu miastu, jego życia, dorobku i przeszłości. Wspólnie z PTTK, monopolistą na przewodników, wypada zastanowić się w okresie zimowym nad właściwymi trasami turystycznymi i ustalić takie, które dadzą zwiedzającym najpełniejszy obraz Poznania.

Wbrew pozorom jest to zadanie trudniejsze niż recytowanie z pamięci dziesiątek dat oraz nazwisk XVI i XVII-wiecznych architektów. Kronikarstwo powinno stanowić fragment, a nie podstawę informacji, którą przekazujemy turystyce. Solidnej korekcie muszą więc ulec programy (realizowane a nie na papierku). Nieodzowne jest także zainteresowanie przewodnictwem większego kręgu ludzi młodych (tu widzę pole do popisu dla Oddziału Międzyuczelnianego PTTK), ludzi społecznie zaangażowanych. Bóiem przewodnik wystawiający wycieczkę miastu musi być przekonany o tym, co mówi i co pokazuje. Egzamin na przewodnika nie może być wyłącznie sprawdzianem wiedzy.

„BEZRADNI“ RODZICE

Dokończenie ze str. 1

programu wychowawczego. W takiej sytuacji owoce wychowania są również zupełnie przypadkowe, z reguły złe. W rodzinie wychowuje się nie tylko syn czy córka, pociecha, szczęście mamy i taty, ale i przyszły obywatel. Jeżeli produktem wychowania będzie człowiek zły, nieudany, społecznie szkodliwy, będzie to nie tylko osobistym nieszczęściem rodziców, ale szkodą wyrządzoną własnemu dziecku i całemu społeczeństwu.

Jaki więc powinien obowiązywać program wychowawczy w rodzinie? Główną i kardynalną zasadą powinna być jego zgodność z programem wychowawczym szkoły. Program wychowawczy szkoły nie jest tajemnicą. Opracowuje go rada pedagogiczna przy czynnej współpracy komitetu rodzicielskiego. Każda szkoła opracowuje swój własny program w zależności od konkretnych warunków i potrzeb. Plan wychowawczy każdej szkoły w Polsce podporządkowany jest jednak głównemu i zasadniczemu celowi: wyposażyć dziecko w naukowy światopogląd i ukształtować te cechy charakteru, które będą mu potrzebne w przyszłej pracy zawodowej i społecznej, które pozwolą mu czynnie uczestniczyć w walce o pokój, w dalszym umocnieniu władzy ludowej i dobrobytu kraju.

Przyszły obywatel Polski Ludowej to człowiek wykształcony, pracowity, szanujący władzę ludową i własność społeczną, kochający

swoją ojczyznę, rodziców i ludzi pracy na całym świecie, to człowiek odważny i prawdomówny, umiejący być wiernym swym ideałom i walczyć o nie. Program wychowawczy podporządkowany temu celowi i realizowany z całą konsekwencją przez szkołę i rodzinę z całą pewnością wyda dobre owoce. Dlatego nie wystarczy przyjąć go do zatwierdzającej wiadomości, lecz współuczestniczyć w jego realizacji. Ten program zobowiązuje także rodziców, by byli wzorowymi obywatelami, by interesowali się życiem społecznym, politycznym i gospodarczym kraju, by cieszyli się z osiągnięć, a martwili się niepowodzeniami.

Rodzice muszą pamiętać o tym, że dzieci przyswajają sobie nie tylko ich poglądy, ale naśladują i przejmują ich sposób bycia na co dzień. Trudno wymagać od dziecka szacunku dla matki jeżeli ojciec jej nie szanuje; nie będzie syn oddawał pieniądze zapracowanych tam, gdzie rodzina nie stanowi jedności ukształtowanej wspólnymi radościami i troskami.

Ze wszystkich czynników wpływających na kształtowanie się osobowości dziecka najważniejszą są: szkoła i dom. Oba te czynniki muszą być wzajemnie uzupełniające, ściśle ze sobą współpracować na bieżąco, nie czekając na sytuacje krytyczne, sytuacje „bez wyjścia”.

WACŁAW LICA

Eugeniusz Paukšta

Teka jubilat

Piękny jubileusz 10-lecia pracy Wydawnictwa Literackiego w Krakowie zbiegł się z jubileuszem 50-lecia pracy edytorskiej dyrektora tejże placówki, Aleksandra Ślapy. Wypada więc nam, czytelnikom, złożyć obu znaczącym jubilatów najlepsze gratulacje. A jest za co. Wydawnictwo Literackie pośród blisko 900 wydanych pozycji, wiele opublikowało takich, które stanowią szczególną wartość dla narodowej kultury.

Przy tej uroczystej okazji zajmijmy się przeglądem najnowszych pozycji krakowskiej oficyny. Zacząć wypada od niewątpliwego rarytasu dużej klasy, jakim jest dokończony przez Joannę Guze wybór wypowiedzi artystów o swojej sztuce i sztuce innych pt. „Malarze mówią”. Antologia, obejmująca okres od romantyzmu do współczesności, od Delacroixa do Picassa, wykazuje przez trafny dobór tekstów, rodowodów sztuki nowoczesnej. Autorka dokonując prezentacji artystów, zarazem dokonuje prezentacji artystów z francuskiego kręgu kulturowego, najbardziej znanego dla wytworzenia się nowych kierunków i nowych pojęć o sztuce.

I druga, naprawdę edytorsko wypieszczona książeczka, jako żywo przypominająca kuglinowskie cacka. Olo Guillaume’a Apollinaire’a „Zwierzyniec albo swiata Orfeusza”, w przekładzie Artura Międzyrzeckiego, z drzeworytami Roula Dufy. Jest to cykl trzydziestu utworów, owoc poetyckiej zabawy, a zarazem bliskiej, serdecznej współpracy plastyka i poety, cykl mikroskopijskich liryków, wyrażających „orfickich bodźców i malarzkiej inspiracji”, jak pisze Międzyrzecki. Lekitura to też poetycka zabawa, zatem zapraszam.

Jak zawsze, WL wierne jest swej tradycji publikowania wydań zbiorowych naszych klasyków. W ogólnej serii dzieł Władysława Orkana otrzymujemy obecnie dwa „Nowe zebranych”. Wchodzi tutaj, bardzo starannie opracowane przez redakcję „Dzieł”, teksty Orkana od „Nowe” z roku 1898, a więc pierwszych utworów młodego, początkującego pisarza, po opowiadania z „Wesela Prometeusza” z r. 1920. Czytelnik otrzymuje zatem pełny przegląd twórczości nowelistycznej najbardziej ludowego z synów Podhala.

W edycji powieści obyczajowych J. I. Kraszewskiego, tak często niedocenianych, a wszakże w zasadzie przewyższających znacznie bardziej popularną twórczość historyczną tego tytana pióra, otrzymaliśmy obecnie krytyczne wydanie „Chały za wsią”, swobodnego, pełnego autentycznego obrazu wsi wołyńskiej z czasów około połowy minionego wieku.

Z utworów pisarzy współczesnych chciałbym zwrócić uwagę na dwie książki Jana Kurczaba. Pierwsza z nich, to utwór wyróżniony na międzywydawniczym konkursie „Siedem zielonych zeszłotów”, żywo napisana, trapiąca bogactwem obserwacji powieść (w formie pamiętnika) obyczajowa z życia dorastających dziewcząt. I druga powieść, przy tym autentyczna, „Kronika serdeczna”, dzieje głoszonego w swoim czasie, w dniach pałosu budowy Nowej Huty, amatorskiego teatru „Nuri”, którego Kurczab był założycielem i kierownikiem. Pierwsze wydanie powieści miało właśnie tytuł: „Nuri”. Obecnie autor książkę przepracował, zresztą uzyskała na tym ale i sporo straciła ze swej bezpośredniości, jednak pociąga nadal nade wszystko swym ładunkiem optymizmu.

I jeszcze debiut Kazimierza Traciewicza, powieść „Agnieszka i inni”, jedna z rzadkich u nas prób ukazania na co dzień życia ludzi ze środowiska robotniczego, w tym przypadku bohaterki, robotnicy w wielkim zakładzie przemysłowym. Doskonałe często sylwetki pracowników, ciekawe podpatrzenia psychologiczne, niemała dawka zbeletryzowanej socjologii, każą tę książkę, której zresztą nie brak i warsztatowych niedostatków, traktować jako wartościową pozycję w literaturze współczesnej.

Z KSIĄŻKA NA TY

dagogiki i wychowania. Zdaniem uczonego:

„wychowanie ma się dokonywać przez organizowanie działalności dzieci i młodzieży, przez wprowadzenie ich w dzisiejszą rzeczywistość społeczną, w dzisiejszą naukę, technikę i sztukę, z intencją, aby mogli sobie przyswoić te osiągnięcia i nauczyć się współdziałać w ich dalszym rozwoju. W języku techniki pedagogicznej byłbyśmy skłonni powiedzieć, że wychowanie powinno się odbywać przez naukę, przez sztukę, przez pracę, przez działalność społeczną, przez zabawę itd., tzn. przez wszystkie formy i wytwory ludzkiej działalności”.

Profesor kładzie szczególny nacisk na to, iż rzeczywisty postęp w oświacie i wychowaniu zależy od wykorzystywania inicjatyw nauczycieli i zaangażowania dzieci.

SENS SPOŁECZNY TWÓRCZOŚCI SENSACYJNEJ

Kontynuując rozmowy redakcyjne na temat określonych dziedzin twórczości „Kultura” zaprosiła tym razem do dyskusji autorów zajmujących się powieścią sensacyjną. W dyskusji tej padły ważne sformułowania na temat społecznej roli twórczości sensacyjnej w naszym kraju. Wydaje się, iż sedno sprawy najlepiej przedstawiła Barbara Gordon, mówiąc: „Czy my rzeczywiście nie pokazujemy dodatknych stron naszego bytu i życia? Wydaje się, że to nieprawda. Skoro zbrodniarz popełnił zbrodnię, to ktoś, kto go wykrywa jest bohaterem pozytywnym. Tak samo jak może być bohaterem pozytywnym ktoś, kto przesunął wielki piec. Następnie: kto zwycięża? W walce ze zbrodnią zwycięża sprawiedliwość. Pokazując zbrodnie na tle warunków społecznych, stosunków, rzeczywistości pokazujemy rzecz niesłychanie dodatnią”.

KONIN I ZŁOTÓWKI NA KULTURĘ

Dwa czasopisma zajęły się sprawą obiektów kulturalnych okręgu konińskiego. Leszek Goliński na łamach „Tygodnika Demokratycznego” („Rzym leży na Krymie”) omawia niepokojące

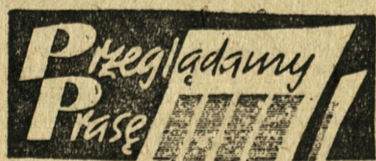
sytuację w budownictwie obiektów kulturalnych na terenach budowy wielkich obiektów- przemysłowych (Płock, Konin, Lubią).

„Na terenie Konina, liczącego obecnie około 20 tysięcy ludności, z czego około 5 tysięcy przypada na zatrudnionych w kopalni węgla brunatnego i w elektrociepłowni — istnieje tylko powiatowa i miejska biblioteka publiczna na 94 miejsca, kino II kategorii z salą na 307 miejsc, muzeum regionalne placówka przyzakładowa w kopalni pod nazwą „Klub Górnik”, nie licząc małych świetlic przyzakładowych, najczęściej niewykorzystanych (...) Błogosławione owoce przyniosłyby tu współpraca resortu, współpraca posiadającego odpowiednie środki Związku Zawodowego Górników: „stan i lokalizacja już istniejących urządzeń kulturalnych, budzą natomiast bardzo poważne zastrzeżenia, żeby nie wspomnieć, iż w żadnym stopniu potrzeb kulturalnych zarówno mieszkańców miasta jak i załogi zagłębia konińskiego. Dotychczas istniejący dom kultury oddalony jest od osiedla robotniczego o około 4 km, więc siłą rzeczy nie może odgrywać tej roli jaką odegrać powinien”.

Ten sam temat podejmuje Zenon Krasa w „Tygodniku Kulturalnym” (artykuł „Ambicje i porfety”). Poddaje on takie rozwiązania, zgodne zresztą z uchwałami rządu:

„Chciałoby się Koninowi — Nowemu, Staremu, przemysłowemu „przyległościom” — krótko mówiąc Koninowi, zaproponować „kulturalne” zjednoczenie. Czy konieczne ten zespół musi być kopalniany, ów elektrowni, a jeszcze inny huty? Niech geograficzna przynależność będzie jedynym i wystarczającym określającym ich pochodzenia — po prostu zespoły konińskie (...) Co jeszcze można zaproponować Koninowi? Żeby — pisze autor — jak najprędzej skończył z tą zabawą w chowanie i wreszcie się dogadał. Zyspać forszę do kupy i — nie miejski, nie powiatowy, nie zakładowy, ale zwyczajny Dom Kultury w Koninie... niech stanie i przyjmie odpowiednie funkcje w stosunku do całego — mimo wszystko — stopniowo integrującego się środowiska”.

LEKTOR



JAK UMIEJĘTNIE OSZCZĘDZIĆ

Oszczędności złożone w PKO i gromadzkich spółdzielczych kasach pożyczkowych przekroczyły sumę 30 miliardów złotych. Aleksander Paszyński w artykule pt. „Co robić z 30 miliardami” podaje w „Polityce” taką myśl wykorzystania tych pieniędzy na budownictwo spółdzielcze:

„Jak wiadomo jednym z czynników ograniczających rozmiary budownictwa mieszkaniowego jest niedostateczny potencjał wykonawczy przedsiębiorstw budowlanych. A „potencjał” ten to bardziej fundusz plac aniżeli cokolwiek innego. Funduszu plac zwiększyć nie można, bowiem nie pozwala na to postulat równowagi rynkowej. Chyba, że zwiększeniu funduszu plac w budownictwie towarzyszyłoby równoczesne wycofanie z rynku odpowiednich kwot. I taką właśnie możliwość stwarza spółdzielczość mieszkaniowa”.

Zdaniem autora należałoby w tym celu zawierać umowy na dostarczenie mieszkań z obowiązkiem złożenia odpowiedniej kwoty w PKO z perspektywą 5—10 lat i więcej. Umożliwiłoby to właściwe przygotowanie inwestycji oraz stworzenie warunków dostatecznej wczesniej akumulacji, wyprzedzającej podjęcie budownictwa. Publicysta proponuje, by na tych samych zasadach rozważyć podjęcie operacji, która zapewni w ciągu 3—5 lat zgromadzenie tej samej drogi środków niezbędnych dla modernizacji „Żerania” i przestawienia go na produkcję 50 tysięcy samochodów rocznie.

WYCHOWANIE I POLITYKA

Profesor Bogdan Suchodolski udzielił tygodnikowi „Kultura” wywiadu, w którym między innymi mówi na temat pe-

Spotkałem jej chłopca...

Dokończenie ze str. 1

Wenecji? Ale czułem, jak nogi mi drętwiały i patrząc w jego szerokie plecy, nie mogłem wydobyć głosu. Szedłem za nim, krok w krok wąskimi uliczkami, między sklepowymi wystawami, w których odbijały się nasze sylwetki. Miał na sobie niebieską bluzę. Ogromną głowę, zarosniętą czarnymi, kędzierzawymi włosami. Nie dowierzałem własnym oczom. Na dzień przed opuszczeniem Italii zaszła niespodzianka, która mogła mnie wiele kosztować. W paru sekundach zebrałem w pamięci szcze-

góły należące do moich przeżyć i do życia obcych dla mnie ludzi. Czas był jednak zbyt krótki, aby przestało to wszystko we mnie istnieć i mogło znaleźć się już w zamkniętej przeszłości. Szedłem chwilami bezmyślnie, oszołomiony tym spotkaniem w opustoszałej Wenecji. Na nowo przeżyłem ostatni tydzień mojego pobytu w Rzymie.

Odrócić to tytuł głowę, przyjrzałem mu się dokładnie. Wydało mi się, że złąkł się mojego spojrzenia. Podbiegł i znalazł się w odległości dwudziestu metrów przede mną. Było gorąco, szedł raz szybciej, raz wolniej, ginąc mi chwilami z oczu. Musiałem zachowywać się jak lunatyk, bo przechodząc nie uśmiechali się ironicznie, a nawet ze strachem na mój widok.

Na skrzyżowaniu uliczek powstało zbiegowisko. Zatrzymał się na krótką

chwilę w wejściu do sklepu jubilerskiego. Mogłem podejść spokojnie do niego, ale odwołłem ten moment na później, kiedy znajdziemy się zupełnie sami, bez świadków. Zwolniłem kroku, odczułem zmęczenie wywołane zadyszką. Potem zaczął biec przez plac S. Marco, wśród tłumu gółębi i zatrzymał się dopiero nad kanałem. Stałem za węgłem Pałacu Dozów i z daleka patrzyłem w jego nieruchomą sylwetkę. Pomyślałem, że teraz powinienem do niego podejść, bo byłbym niemal sami, na nabrzeżu. Lada chwila może wsiąść do vaporetto i Bóg wie dokąd pojechać. Ale o czym miałem z nim rozmawiać? Z obcym, młodym człowiekiem, który być może wzruszy tylko ramionami i uzna wszystko za idiotyzm i głupstwo. Albo...

Zrobiłem krok wstecz, potem dwa kroki, począłem się cofać. Miałoby być

obce, uszczęśliwiając wprawdzie zakochane pary, ale we mnie począł rósć koszmarny lęk. Jakis obłęd i lekkomyślność prowadziły mnie przecież prosto do zguby. Zresztą jak mogłem spojrzeć mu w oczy? Chociażby nie wiedział nic o mojej przygodzie z Clementiną.

Rozglądał się po okolicy, jakby wybierał dla siebie bezpieczne miejsce na nocleg. Nie spuszczałem go z oka. Zwrócił twarz w moją stronę i uśmiechnął się, nie byłem pewny, czy do mnie, czy do tłumu gółębi czy do oślepiającego słońca. Zauważył mnie i ruszył w moją stronę. Spotkał się ze wzrokiem, ale odrócićm się gwałtownie i niemal wbiegłem do bazyliki. Na twarzy czułem gorące wypieki. Drżała mi ręka, gdy kupowałem bilet wstępu. Stałem się nie patrzeć w bramę kościoła, chociaż próbowałem bronić się

sam przed sobą myślą, że nic takiego się nie stało. Bo cóż takiego zrobiłem?

Nic nie widziałem w marmurowej złotej bazylice.

Czekał na mnie przed bramą. Ucieszył się, gdy mi powiedział ciepłym głosem, że zaraz rozpoznał we mnie typowego cudzoziemca. Zaśmiał się razem i rozpoczęliśmy nasz dialog z tym o czym myślałem, goniąc Serafiną uliczkami Wenecji.

Dopiero, gdy mnie zapytał, dlaczego szedłem za nim, powiedziałem:

— Widziałem pana w Rzymie. Na dworcu metra Colosseum, kiedy rozmawiał pan z Clementiną — i zamilkliśmy obaj na chwilę.

GERARD GÓRNICKI